TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 11. *Chicago, Ills., 9 Września, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Z wewnętrzną serca pociechą wracała Marya do ulubionego siedliska; lecz niespokojność umysłu truła pociechy, jakie w domowem ustroniu, przy kochającej ją ciotce znaleźć mogła. Jakże odmienne były teraz jej uczucia od tych, z jakiemi niegdyś to spokojne ustronie opuszczała! W ów czas nieświadoma jeszcze mocy wdzięków swoich, występując po raz pierwszy na świat z cichości życia, na pełnieniu skromnych cnót domowych spędzonego, lękała się pierwszego wstępu między nieznajomych, nie ufała sobie samej, czy potrafi zasłużyć przynajmniej na pobłażanie swej nieudolności; teraz wracała upojona powodzeniem swojem u dworu i pochwałami zewsząd odbieranemi, przyzwyczajona oraz do poklasku osób, od których niegdy pobłażania tylko spodziewać się mogła. Dawniej odjeżdżała z domu z tem przykrem przeczuciem, że niczyjej przyjaźni nie pozyska; teraz wracała z przekonaniem, że tęskniących za sobą u dworu zosta-

wiła, i z łudzącem mniemaniem, że w synu królewskim najtkliwsze wzbudziła uczucia. Wówczas była wioska rodzinna światem dla niej, myśli jej i życzenia nie sięgały za jej granice; teraz dla złudzonej kraj cały nie był zanadto obszerny, a śmiałemi myślami dosięgała do najwyższego szczytu niewieściego znaczenia. Lecz za to, jakże była wówczas spokojną, jak wolną od wszelkich wyrzutów sumienia, a dzisiaj w ustawicznej walce z sobą samą, ciągle pomięszana i lękająca się o to, aby każdy tajemnicy jej serca nie odgadnął!

Gdy weszła do domu, opuściły ją na chwilę te przykre uczucia, bo serdeczne powitanie podkomorzego i radość dworskich nie dozwoliły im przystępu. Ze łzami w oczach przyjmowała wszystkie powitania, i słodziej brzmiały w jej uszach pochwały prostych ludzi jej wdziękom dawane, niż owe wyszukane grzeczności i pochlebstwa, które tylekroć u dworu słyszała. Skoro tylko oswobodzić się mogła od powitań wszystkich domowników, wybiegła nawiedzić ulubione dawniej miejsca i szukać w nich wspomnień dawniej swobody i uciechy. Najpiękniejszy wieczór sierpniowy roznosił chłód po całej okolicy. Słońce już zaszło; nastała chwila dzieląca jasność dnia i pomrok wieczora, w której się całe przyrodzenie do nocnego spoczynku zabiera. Ptastwo gromadziło się między gałęzie obfitym liściem pokryte i ostatniem szczebiotaniem żegnało ostatnie dnia światło. Znużone upałem latorośle rzeźwiły się pod kroplami rosy, a świeżość powietrza, podobnie jak tchnienie ubóstwianej kochanki, lubością oddychającego niem przejmowała.

Gdy się Marya od dworu nieco oddaliła, gdy po przebieżeniu znacznej przestrzeni ogrodu znalazła się w miejscu, gdzie jej żaden odgłos ludzki nie dochodził, zatrzymała się chwilę jakby zadziwiona wrażeniem, które nowem było dla niej z powodu, że od tak dawna sama rozkoszy spokojnej natury nie używała. Występny winnem obarczony sumieniem lęka się samotności nocy, bo mu popełniona zbrodnia, jako przykry obraz przed umysłem staje i wszelki spoczynek odbiera; żadne wrażenie tkliwe nie znajduje przystępu do jego umysłu, ani go widok spokojności i szczęścia wzruszy, ani do skruchy wzbudzi. Ale wolna od występnych zarzutów dusza, któ-ra sobie tylko niedopełnienie danych przyrzeczeń lub nieoddanie sprawiedliwości zasłudze wyrzucać może, dusza wystawiona na wewnętrzną walkę uczuć, a lękająca się przewagi namiętności nad rozsądkiem; taka czysta i tkliwa dusza za najsłabszą pobudką wchodzi w siebie samę i cierpi wyrzuty obrażonego sumienia. Dla niej wszelka samotność, wszelkie oddalenie się od światowego zgiełku, widok cichej i spokojnej natury, silnemi są pobudkami do ocucenia sumienia i owych wyrzutów drażliwego czucia, które najlżejszemu przewinieniu znamię winy nadają.

Takie było położenie Maryi: zachwyciły ją piękność wieczora i świeżość woniejącego powietrza, rada była oddać się całej przyjemności swych wrażeń, atoli wewnętrzne jakieś uczucie truło jej spokojność i nie dozwalało używać całej słodyczy chwili, którą i powrót do rodzinnego domu i piękność przyrodzenia tylą powabami otaczały. Smutnie spojrzała na około siebie, wszędzie napotykała wspomnienia lat minionych: tutaj był ogródek, który niegdyś własną ręką chodowała, tam zwiędłym już liściem pokrywał się krzak róży jej ręką zasadzony; w oddaleniu wiła się pomiędzy bujną trawą ścieżka, którą zwykła była chodzić do wsi, gdy cierpienia lub nędza jej pomocy wzywały.

Bliżej domu osiadał promień gasnącej zorzy na wierzchołku starego dębu, pod którym się z nią po raz ostatni pieścił ojciec, nim na Wiedeńską wyszedł wyprawę. Tam jej oznajmił wolę swoję, tam czułe dawał przestrogi; a ona tych przestróg nie miała w pamięci, ona poważyła się niedopełnić tej woli ojcowskiej! Nie śmiała wejść w głębsze rozpoznanie drażliwych uczuć, które się w niej odzywać zaczynały; usiłowała roztargnąć się jakim zajmującym przedmiotem, lecz poznawszy wkrótce próżność tego usiłowania, rzekła sobie z ciężkiem wstchnieniem: — Ach! czemuż mi tutaj nie tak dobrze jak dawniej!

To jej smutne dumanie przerwała biegnąca ode dworu wiekiem już schylona niewiasta, która zbliżywszy się do niej padła jej do nóg i z najżywszą ściskając je radością, rzekła:

— Ah! moja Pani kochana! moja Pani droga! — przecież jeszcze o nas nie zapomniała, a ja myślałam, że moje oczy już nigdy nie zobaczą tej, którą wykarmiłam i wypiastowałam. Dziękiż tobie Boże, żeś mi pozwolił doczekać chwili, w której najdroższą Maryneczkę moję tak wielką Panią widzieć mogę. Niechajże ci Pan Bóg błogosławi, moja najdroższa Panienko, niechaj ci wszystkie zsyła pomyślności.

Czule podziękowała Marya dawnej piastunce swojej za dowody przywiązania, a ta postawszy i przypatrując się swojej pani, unosiła się nad jej pięknością i rzekła w końcu:

— Że też to tego który książe nie weźmie za żonę!

Przeraziła myśl ta Maryą, obejrzała się z obawą na wszystkie strony, czy jej kto nie słyszał, jak gdyby ta prosta niewiasta powiernicą jej uczuć była i nierozmyślnie tajemnicę jej serca wyjawiła. Pożegnawszy i obdarzywszy piastunkę, wróciła do dworu i usiłowała pozorną wesołością ukryć to, co się w jej sercu działo. Lecz zbyt jeszcze mało była wprawną we wszystkie wybiegi obłudy, aby jej się to udać mogło. Starała się uśmiechać za każdym razem, gdy na czynione sobie zapytania odpowiadała, ale mimowolnie zamyślała się, gdy do niej wprost niemówiono. Twarz była pełna wyrazu słodyczy i przymilenia; lecz oko zachodziło często mgłą zasmucenia i spuszczała je obojętnie ku ziemi, lub na ręce czemkolwiek zajęte. Podkomorzy chodził żywo po pokoju, przyglądał się jej oczom, zbliżał się do żony i mówił, raz:

— Marynka nasza smutna — drugi raz: — ona ma coś na sercu — to jeszcze po długiem jej zamyśleniu: Musieli jej tam dokuczyć, ja to widzę. — Troskliwa ciotka nie zwracała z niej oka i raz po raz pytała, czy nie jest słaba? dla czego tak smutna? czego się tak często zamyśla? Słodki uśmiech, pospolite wymówki i przybieranie weselszej twarzy, były zwykłą odpowiedzią Maryi; a widząc że niemi troskliwych przyjaciół nie zaspokoi, wzięła za powód znużenie podróżą i ból głowy, aby pod tym pozorem wcześnie do swego pokoju na spoczynek udać się mogła.

Nazajutrz rano pospieszyła niespokojna podkomorzyna do niej, i gdy zwolna drzwi otworzyła, mniemając że Maryą jeszcze śpiącą zastanie, spostrzegła ją klęczącą przed portretem ojcowskim. Czarne jej włosy spadały w pierścieniach na biały ranny ubiór, śnieżne ciało nabierało jeszcze blasku od jagód żywym rumieńcem pokrytych; oczy były spokojne, lecz z wyrazem błagalnej ufności w martwe spojrzenie ojca wlepione; na ustach był uśmiech żałości, a w całej postawie jakby oczekiwanie stanowczego wyroku.

Przeraziła się w pierwszej chwili podkomorzyna spojrzawszy na Maryę: ona zaś przejęta mocą uczucia swego, nie spostrzegła zrazu wchodzącej, i z pewnem bolesnem wrażeniem z przerwanego zamyślenia wtedy dopiero powstała, gdy ciotka bliżej do niej przystąpiła,

— Maryniu! — rzekła tuląc ją do łona — ty widzę mocno jesteś wzruszona, ty taisz coś przedemną.

Ścisnęła jej rzewnie rękę Marya i z wyrazem wewnętrznej boleści rzekła:

— Tak jest, chciałam taić; lecz — dodała wskazując ręką na portret ojca — wspomnienie tego sędziego, który z przybytku wieczności na postępki swej córki patrzy, wzbudzilo we mnie przekonanie, że dłuższe zachowanie tajemnicy przed tą, która jego miejsce na ziemi zastępuje, byłoby występkiem.

Tu opowiedziała Marya wiadome szczegóły owego festynu w Sukiennicach dawanego, który wzniecił w niej przychylne ku księciu Jakóbowi uczucie. — Odtąd — rzekła dalej — poważyłam się podnieść oko na królewskiego syna i poświęcić mu uczucie, którem mój ojciec dla uczciwego i znakomitego męża już był rozporządził. Odtąd spokojne szczęście w domowem zaciszu było dla mnie zbyt pospolitem, zbyt poziomem, ażebym o niem tylko myśleć miała, poważyłam się, w nierozmyślnem uniesieniu mojem, sięgnąć nadzieją do tronu, a szczęście króla i narodu za cel mego życia położyć. Mój umysł złudzony pochlebnemi obrazami, któremi się ustawicznie pieścił, we wszystkiem, powodzenie i pomyślność spostrzegał. Jeżeli książę, przez zwykłą sobie uprzejmość, pochlebną do mnie obracał mowę, jeżelim niekiedy jego pełne czucia wejrzenie na siebie zwrócone spotkała, jeżeli dla mnie więcej jak dla innych był grzeczny; przypisywałam to wszystko widocznej jego ku mnie przychylności, we wszystkiem widziałam znamiona tych uczuć, które dla mnie tylko cierpienia były przyczyną. Do tego dodać trzeba pochlebne wyrazy księcia, które przez dworzan, wszystko co król lub jego rodzina mówi powtarzać nawykłych, aż do mnie dochodziły; tudzież upodobanie, z jakiem królewicz przeszkadzał zawsze natrętnemu dla mnie Mondorowi i wszystkie jego zamiary niweczył. W obozie jeszcze, przy owem zdobyciu Jazłowieckiego zamku, o którem wam wczoraj powiadałam, najgrawał się najmocniej z Francuza i był przyczyną narażenia się jego na niebezpieczeństwo, z którego zacny Ruszczyc go wybawił.

— Wyszłyśmy były trzy towarzyszące królowej panny dworskie na nieco odległe od namiotu wzgórze, zkąd widok sięgał na rozległą dolinę, w której z daleka chorągiew naszego rotmistrza stanowisko miała; towarzyszył nam Mondor z kilkoma innymi dworzanami i najgrawać się począł z Ruszczyca, o którym właśnie mowa była, dla tego żeśmy na jego stanowisko poglądały. Gdy z szyderstwem malował go jako zimnego i obojętnego kochanka, który tak blizko będąc swojej narzeczonej i razu jej nawet nie odwiedził; zbliżył się ku nam, niespostrzeżony z razu, książe Jakób i zastawszy mnie w żywej sprzeczce z Mondorem, stanął wraz ze mną w obronie Ruszczyca i rzekł w końcu:

— U nas niewiasty mało dbają o pieszczone słowa, na jakie ty się silisz, a wysoko cenią bohaterskie czyny, jakich już Ruszczyc wiele wykonał.

Mondor odpowiedział mu na to: iż on zdolnymby był do takich czynów, gdyby się tylko sposobność do tego nadarzyła. Zatem poszedł zakład i wyzwanie Mondora przez księcia na wyprawę, która się dla Francuza na smutno skończyła.

Tego wieczora był królewicz dla mnie szczególniej uprzejmy, prześladował mię tem: że nienawykłych do wojennego znoju w rycerzy zamieniać umiem, że wznawiam rycerskie czasy, w których krew za wstęgę lub przepaskę przelewano. Lecz gdy Ruszczyc ocalonego przywiódł Mondora, gdy ozdobiony całą świetnością wspaniałomyślnego czynu, okazał się przedemną i wyższe we mnie uniesienie wzbudził; odstąpił wówczas odemnie królewicz i znikł z pomiędzy obecnych. Nazajutrz odeszły wojska, a jam go już więcej nie widziała! —

Zamilkła Marya; żywy rumieniec pokrył jej lica i spuściła oczy z wyrazem zawstydzenia. Nie chciała jej strofować ciotka, bądźto dla tego, iż się bała powiększyć jej smutku, bądź też że wrodzona jej dobroć czyniła ją niezdolną do tego, i rzekła:

— Dziękuję ci za otwartość twoję Maryniu, wywdzięczę ci się za nię, niosąc ci pocieszenie w strapieniu. Jeżeli bowiem takie tylko wyrzuty czynić sobie możesz, łatwo się wróci spokojność twego sumienia, równie łatwo jak minie to chwilowe upodobanie, które w tobie królewicz wzbudził.

— Ach! kochana ciotko — odpowiedziała Marya — ja mojej winy tak lekce nie ważę; wrażenie moje zbyt mię mocno zajmuje, ażebym się nie miała lękać tego iż mnie kiedyś albo zmusi do niedochowania przyrzeczeń narzeczonemu danych, albo przynajmniej zatruje moje z nim pożycie. Dla tego umyśliłam nie wracać więcej do dworu.

— Nie wracać do dworu? — odpowiedziała z zadziwieniem podkomorzyna — do tego nie ma żadnych słusznych powodów. Myśmy jako opiekunowie zezwolili samej królowej na dłuższy twój pobyt; Ruszczyc przyrzekł, że końca wyprawy do zawarcia ślubów z tobą czekać będzie; nie wypada przeto zmieniać postanowienia raz już w obec monarchów powziętego.

— Więc kochana ciotko — rzekła Marya — chcesz mnie narażać dłużej na niebezpieczną walkę przemagającego uczucia i obowiązków moich?

— Nie masz teraz — odpowiedziała z uśmiechem podkomorzyna — żadnego niebezpieczeństwa dla ciebie u dworu; królewicz jest na Wołoszczyznie, a gdy ztamtąd powróci, wróci też z nim razem Ruszczyc, aby dozgonny z tobą zawrzeć związek. Z resztą ilekroć wspomnisz sobie na księcia Jakóba, miej i to na pamięci, że on jest synem królowej Maryi Kazimiry, która dla niego między panującemi i księżniczkami żony szuka, i która go właśnie teraz z córką cesarza niemieckiego zaślubić pragnie.

Przykro zabrzmiały w uszach Maryi i te tak otwarte wyrazy ciotki i działały na jej umyśle, jak owo gorzkie lecz skuteczne lekarstwo, które odrazę wzbudza lecz bóle nagle uśmierza.

Podkomorzyna pospieszyła po tej rozmowie na naradę do męża, a wymógłszy naprzód na nim przyrzeczenie zachowania tajemnicy, doniosła mu to, o czem się właśnie dowiedziała, i dodała w końcu: że nie chcąc bardziej smucić Maryi lekce z razu rzecz tę ważyła, lecz że ta okoliczność wymagała głębokiego namysłu, ażeby rozstrzygnąć, czy wypada ją odwozić do dworu?

— Zapewne, — rzekł podkomorzy z przyciskiem. — Tutaj potrzeba działać z wielkim namysłem. Nic łatwiejszego, jak pannę w domu zatrzymać, ale czy to będzie i politycznie i stosownie do rzeczy? to kwestya wielkiej wagi.

— Ja się boję - - odpowiedziała podkomo-

rzyna — ażeby nasza Marynia przez dłuższy pobyt u dworu, nie była wystawiona na najsroższe cierpienia, zwłaszcza gdyby miłość jej wzrastać miała, żadnej nie doznając wzajemności.

— A ja się obawiam, — rzekł podkomorzy — ażeby królestwo Ichmość nie wzięli za złe samowolnego jej zatrzymania w naszym domu. A potem, między nami mówiąc, jakiż ja już będę miał wstęp do dworu, skoro ona tu zostanie? W cóż się obróci moja ekspektatywa kasztelanii? która przy częstej bytności mojej u dworu, przez różne konneksye i konsyderacye kiedyś pomyślnym skutkiem uwieńczonąby być mogła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

(Ciąg dalszy.)

Hildegarda widząc, że jej przedstawienie nie odnosi żadnego skutku, odezwała się do syna:

— Eberhardzie! padnij do nóg ojca twego, i proś za twoją wybawicielką, żeby jej życzenie nie w połowie, lecz całkowicie uiścił.

Dziecię widząc matkę zalaną łzami, i smutną Różę, którą ceniło równie jak matkę, a ojca w postaci posępnej stojącego, poczęło kwilić. Ukląkł Eberhard, wzniósł swe drżące ręce ku ojcu i tak głosem tkliwym mówił za matką:



— Kochany ojcze, nie bądź tak zatwardziałym! — nie namyślaj się tak długo nad wyswobodzeniem ojca Róży. Wszakże ona się tak długo nie namyślała czy mnie ratować lub nie. Wspomnij, że ta panna wydźwignęła mnie ze studni, wydźwignij i ty jej ojca z więzienia; że mnie zachowała od utopienia, nie czyń tego, żeby jej ojciec miał zginąć w więzieniu; darowała ci mnie twego syna, daruj i ty jej nawzajem ojca. Ojcze, nie odwracajże twego wzroku odemnie! Daj się zmiękczyć! Wspomnij, że gdyby nie ta panna, jużbyś nigdy nie widział mego oblicza i nie słyszał mego głosu, ciebie o miłosierdzie żebrzącego; te ręce, które do ciebie wznoszę, już gniłyby w grobie....

— Wstrzymaj się! — przerwał Kunerych, — Już tego za wiele!

Usiłował przytłumić swe rozczulenie, które sądził być słabością, nie zdobiącą rycerza; a po chwili walki z sobą samym, rzekł do Róży:

— Panno Różo, twój ojciec jest wolnym, jego zamek wraz z należytościami wracam na-

powrót. Wyznaję, iżem go pokrzywdził; mąż, który jest ojcem tak zacnej córy, nie może być tak złym, jak mi się zdawało.

— O dzięki i chwała Najwyższemu! — zawołała z radością Hildegarda, rzuciwszy się w objęcia męża, i rozkazawszy synowi ucałować ręce ojca. Róża zdawała się być w niebie; rycerze nie mogli powściągnąć łez radości.

— Uczyniłeś Kunerychu, — rzekł Siegbert — jak przystoi rycerzowi, bo być sprawiedliwym, jest więcej, jak być mężnym; siebie samego zwalczyć, jest więcej, jak zwalczyć nieprzyjaciela.

ROZDZIAŁ XVIII.

Róża zwiastuje ojcu wolność.



Rycerz Kunerych zdawał się być właśnie nowym człowiekiem, gdy szlachetne uczucia wzięły przewagę nad nikczemnemi namiętnościami. Przekonanie, że przezwyciężył nieprzyjazną namiętność i usłuchał głosu rozumu, napełniło go wielkiem dotąd niedoświadczonem ukontentowaniem, spokój i zgodność zawitały do serca jego, którem miotały namiętności właśnie jak piękna pogoda, po strasznej burzy. Wypogodziła się twarz, a wewnętrzna swoboda oświeciła oko jego, że nawet mały Eberhard uważał w nim szczęśliwszą zmianę.

— Teraz — mówił — wyglądasz kochany ojczulku tak pięknie jak i panna Róża, i nie boję się już ciebie, jak przedtem, gdyś tak straszniе poglądał; teraz lubię na ciebie patrzeć i kocham cię serdecznie.

Panna Róża przystąpiła do Kunerycha i złożyła mu najczulsze dzięki za uwolnienie ojca i powrót majątku.

— No moja pani! ja wprawdzie nie zasłużyłem ani na dziękczynienie, ani na pochwałę! A musiałbym być nie człowiekiem, gdybym był dłużej trwał w zaciętości. Daruj co uczyniłem, będąc w zaślepieniu i chciej mnie również usprawiedliwić przed twym ojcem i zawrzeć między nami szczerą i wieczną przyjaźń. Pospieszmy do więzienia ojca twego, bo każdy moment, którym się przeciągają jego cierpienia, obecnie pali moją głowę jak żażewie. Tobie winien swoją wolność, miej też ty pierwszeństwo w ogłoszeniu mu swobody.

Nim wyszli, Hildegarda wzięła swego małżonka za rękę, uprowadziła na stronę i szepnęła mu coś z cicha. Przywtórzył jej kilkakrotnie radośnie skinieniem głowy, a skończywszy tajemniczą tę rozmowę, obróciła się do Róży i rzekła:

— Wprzód nim się udacie, proszę panny do przyległego pokoju.

Wszedłszy, znalazła Róża przygotowany dla siebie ubiór, stósowny do jej stanu; a zmywszy z twarzy ową brunatną farbę, którą jej dał węglarz, i przybrawszy się, stanęła całkiem inna, nie do poznania i nie do opisania nadobna dziewica. Sama Hildegarda ujęta była jej wdziękiem, ale stłumiła swoje podziwienie z ostrożności, żeby przez pochwały nie dała podniety próżności; lecz wręczyła jej piękną, hebanową skrzyneczkę, którą otworzywszy rzekła:



— Oto szanowna panno, klejnoty twojej dobrej matki. Czekałam z utęsknieniem na moment, w którymbym ci mogła one zwrócić, i cieszy mnie, że nadszedł czas, odbierz więc to co jest twoją własnością.

Róża odebrała skrzyneczkę z uprzejmym wdziękiem, ale nie pokazała tej radości, jakiej się Hildegarda spodziewała; popatrzywszy na klejnoty, odrzekła ze łzami:

— O moja droga matko, jakże mi te klejnoty ciebie żywą uprzytomniają! Tylko jako pamiątka po tobie są mi przyjemne! — Szanowna pani, ten oto pierścionek z dyamentem jest pierścionkiem ślubnym mojej matki; te perły dostała od księżnej w darowiznie ślubnej; te zausznice wysadzone dyamentami, podarował jej ojciec w dzień jej urodzin. Mój Boże! mnie jest, tak jak gdyby moja matka w to wszystko przybrana przedemną stała. Ach, jakto znikomym jest człowiek! Te kamienie, te perły, to złoto istnieje jeszcze i błyszczy; ale tą, którą zdobiły, dziś już jest prochem!

— Kochana Różo, te łzy, które w oczach twych widać, są doprawdy droższe nad te perły, a twój sposób myślenia przeważa nierównie te dyamenty. O, jeszcze wówczas, gdy twoje ciało w pierwiastkowość swoję obróci się, gdy siła czasu zniszczy te klejnoty, twój szlachetny sposób myślenia będzie ozdobą twego ducha i zaiste świetniejszy jak to wszystko!

Hildegarda ubrała Różę sama i ozdobiła ją klejnotami; gdy jej wsadziła pierścionek, a ten był za wielki, uśmiechnąwszy się Róża, rzekła:

— Widzisz pani, pierścionek nie stosuje się nie tylko do palca, ale i do osoby; wszakże prawda, że tylko panny zaręczone powinien zdobić.

— O, jeśli za wielki na palec serdeczny, to właśnie trafia na wskazujący; a czyż ta ręka, która ojcu tyle przyjemności zrobiła, nie ma być godniejszą pierścionka, jak ręka zaręczonej?

Tak więc przystrojona Róża szła do ojca, towarzyszyła jej Hildegarda aż do drzwi więzienia, tamta wchodząc, zawołała:



— Dzięki Bogu, najdroższy ojcze! — jesteś wolnym.

Ale jakież podziwienie ją ogarnęło, gdy spostrzegła ojca ubranego, jak kiedyś za dobrych czasów, w szaty rycerskie, z medalionem na złotym łańcuchu zawieszonym u szyi; obok niego stali dwaj zacni rycerze Siegbert i Teobald.

Ta niespodzianka nastąpiła z porady Hildegardy. Kiedy przed odejściem Róży do więzienia tajemnie z mężem rozmawiała, żądała od niego, aby gdy ona córkę ubierać będzie, iżby godnie stanowi swemu wystąpiła przed ojcem, wtenczas Edelberta obaj wymienieni rycerze z daleka przygotowani na przyjęcie Róży, ale tak, iżby córka przecież była pierwszą zwiastującą ojcu wolność. Rycerze wzięli z radością na siebie to zlecenie, i jak widzieliśmy, wywiązali się z niego podług życzenia.

Edelbert uścisnął swą córkę z uniesieniem radosnem i po uspokojeniu swego wzruszenia, odrzekł:

— O moja droga córko! przy Bozkiej pomocy odniosłaś zwycięztwo, jakiegoby zbrojne wojsko odnieść nie zdołało. Gwałt broni zdołałby tylko Kunerycha zamek w gruzy obrócić, ale twoja miłość ku ojcu podbiła jego serce, i przemieniła w przyjaciela. Bogu niech będą za to wieczne dzięki! On to wszystko dziwnie zrządził! On pobłogosławił, jak przyrzekł twoje usiłowanie, i ukoronował je błogim skutkiem.

Edelbert dopiero spostrzegł, że córka jego przybrana bogato.

— A oto, — rzekł, — córko moja, Bóg nietylko ci to dał, o coś go tak usilnie błagała, wolność ojca, ale widzę dodał ci jeszcze i ozdoby matki twojej, tę piękną po niej pamiątkę. Trochę mnie to martwiło, iżeś ostatnią pamiątkę naszego dawnego mienia, złote kolczyki, sprzedała na moje potrzeby, aż oto Bóg daje ci nagrodę choć jej nie żądałaś; prawdziwie hojny w nagrodzie dobrych czynów!

Obaj rycerze zadziwieni byli nie mało pięknością Róży.

— Zaiste, — odezwał się Teobald, — pani uczyniłaś z siebie wielką ofiarę, gdyś nadobną twarz swoją utaiła brunatną farbą i kibić swą pokryła lichem odzieniem!

Róża zarumieniła się, sądząc to być czczem pochlebstwem, gdy Siegbert dodał:

— Piękność jest to jedna z ozdób należących do niższego rzędu; miłość rodzica, a jeszcze z tak wielką ofiarą dokonana, jest nierównie większą; jest przymiotem, z którym iść nie mogą w porównanie żadne znikome klejnoty. Jak istny anioł wchodziła do więzienia ojca, by go pocieszać, jak anioł pokoju zwiastuje mu oto wolność, którą mu wysłużyła.

Róża przedstawiła ojcu prośbę Kunerycha, żądającego, aby mu darował te wszystkie przykrości, jakie mu zaślepiony namiętnością gniewu wyrządził.

— Mój Boże! — odrzekł Edelbert ze łzami — ty córko jesteś mi świadkiem, że dawno mu już darowałem!

W tem właśnie momencie, gdy to mówił, otworzyły się drzwi więzienia i wszedł Kunerych z swoją małżonką i małym Eberhardem. Edelbert i Kunerych podali sobie ręce i uściskali się wzajem, a wszelka złość i niesnaski pierzchnęły; zaprzysięgli sobie wieczną przyjaźń i uczuli słodycz pojednania się wzajemnego.

Edelberta ucieszyło i to szczególniej, iż ujrzał uratowanego przez swą córkę Eberharda, siadł na kamiennej ławie, wziął dziecię na swe łono i patrząc nań, z czułością, odrzekł:

— Luby, nadobny chłopczyno! niech cię Bóg chowa i strzeże na pociechę twoich rodziców; niech z ciebie uczyni szlachetnego męża!

— O szanowny rycerzu! — odezwała się matka, — oby to Bóg dał, żeby się ten chłopczyk tak pięknie prowadził i tak zasadom wiary i tej obyczajności był wiernym, jak twoja go dna córka, uczyniłoby nas to najszczęśliwszymi z rodziców.

Opuścili wszyscy więzienie, udali się do zamku, aby zakończyć ten dzień wesołą ucztą. Edelbert i Róża zajęli pierwsze miejsca przy stole; obok Edelberta siadł Kunerych, obok Róży Hildegarda. Od dawnych lat nie widziano Kunerycha tak swobodnym jak obecnie i sam to uznał, gdy mówił:

— W życiu mojem jeszcze nie byłem tak szczęśliwym jak dziś, bo moja szalona nienawiść ku tobie, Edelbercie, zatruwała mi wszystkie przyjemności życia. O, jakże to uszczęśliwia człowieka jedność i przyjaźń wzajemna! Teraz to dopiero poznaję, że nienawiść jest wyrodem piekła na zgubę człowieka, a miłość darem jest nieba, zdolnym osłodzić życie ludzkie.

Przed Edelbertem postawiono puhar jego pradziadów. Kunerych pochwycił go, nalał starem winem i spełnił za pomyślność Edelberta i Róży, toż samo uczynili przytomni goście. Gdy pełen podano Edelbertowi pokosztował i rzekł:

— Szanowni koledzy! z takiem winem trzeba nam obchodzić się ostrożnie, bo ono jest zdolne powalić rycerza takiego nawet, któregoby żaden nieprzyjaciel powalić nie zdołał!

Kunerych się uśmiechnął, podobała mu się albowiem pochwała jego wina i pojął co mu Edelbert zręcznie mówił.

— Prawda Edelbercie, tyś zawsze dobrze wychodził na tem, iżeś był wstrzemięźliwym, i gdyśmy jeszcze za paziów służyli, przestrzegałeś mnie jak przystało na posiadającego miłość bliźnich; wówczas było pusto w głowie, dziś żałuje się niejednej pustoty młodocianego wieku, rozsądek ustalony, dziś też za miłą przyjmuję twoją przestrogę. Cieszmy się z umiarkowaniem.

ROZDZIAŁ XIX.

Róża i jej ojciec odbierają swe dobra.

Następnego poranku Edelbert ubrany do podróży rzekł:

— Oto widzisz, myślałem ciebie z córką dziś odwieźć do Tanenberga, już wszystko do podróży przygotowałem, ale moja Hildegarda uczyniła mi bardzo słuszną uwagę, która moje przedsięwzięcie odmieniła. Mieszkało tam dotąd pospólstwo, więc nie musi tam przyjemnie wyglądać; posłałem przeto moich ludzi, aby zamek przyprowadzili do porządku, a jak się to stanie, dopiero wyjedziemy do Tanenberga. Tymczasem tu, gdzieś tyle wycierpiał nieprzyjemności, zechciej odpocząć i rozweselić się.

Po śniadaniu obcy rycerze tęskniący do swoich posiadłości, pożegnali się i z wojskiem swym odjechali. Kunerych wziął Edelberta za rękę przyjaźnie, oprowadził go po swym zamku i pokazywał mu wszystko, co było godnem widzenia; a Hildegarda czyniła podobnąż przechadzkę po zamku z Różą.

Gdy skończyli ten przegląd, zeszli się społem w podwórzu; widząc studnię, przeszły ich wspomnienia tkliwe, które Róża przerywając, oświadczyła swe życzenie odwiedzić swą dawną panię. Dozorca odpoczywał po fatygach wyprawy w swej izbie, skoro usłyszał głos swego pana, powstał i otworzył drzwi pomieszkania

swego, a tu stanęła przed nim Róża, którą powitał z przyzwoitem uszanowaniem i rzekł:



— Mój Boże, czegoż ja to dożyłem! prędzejbym pomyślał, że niebo się załamie, niż że u mnie odbywa służbę panna szlachetnego rodu! A przecież ja prostak, powinienem był się domyśleć z niektórych okoliczności, że tak przychylną dla rycerza Edelberta mogła być tylko córka jego. Wczoraj, gdy się ta wieść rozeszła po zamku i narobiła tyle wrzawy z podziwieniem, dopiero mi się rzeczy objaśniły. A moję Jadwigę, jak ta wieść pomięszała, tego nikt opisać nie zdoła; ale niechże ona sama przeprosi panią za tylekrotne przez jej prędkość wyrządzone obelgi.

Berta i Otmar, dzieci dozorcy, bojaźliwie stały w kąciku, ale Róża oswoiła ich z sobą, obcując z niemi po dawnemu. Wszyscy się oglądali za żoną dozorcy, ale że ta, jak usłyszała, iż się państwo zbliża do jej pomieszkania, spiesznie wymkła się do kuchni. Róża wyszła, aby jej poszukać i wprowadziła zawstydzoną i upokorzoną przed gości.

— Pod ziemię zagrzebałabym się obecnie, — rzekła, — bo mnie wstyd tego, iżem się niegrzecznie z panną Różą obchodziła.

Na to odrzekła Hildegarda:

— Moja dobra Jadwigo! powinnabyś o tem nigdy nie zapomnieć, że i najniższy człowiek jest dziełem rąk Boga, ożywiony tchem Jego, to jest jego szlachetnością, nad którą nie ma wyższej. Najnikczemniejszy na pozór żebrak, może przez zachowanie swoje przyjść do takiego stopnia uszczęśliwienia i godności, wobec których wszystkie tego życia oznaki, są tylko nikczemnym cieniem. Jest więc bardzo słuszny powód, żebyśmy każdego człowieka szanowali.

Jadwiga przyznała swej pani i prosiła z płaczem, ażeby jej darowano.

Na co Róża uspakajając ją rzekła:

— W przytomności twego państwa i mojego ojca wyznać szczerze muszę, że masz w sobie wiele dobrych przymiotów, jesteś bardzo dobrą małżonką dla męża, matką dla dzieci, skrzętną gospodynią w domu, — pracowitą, — kochasz porządek i ochędóztwo. Jesteś oszczędną bez skąpstwa, — dobroczynną dla ubogich, — dla każdego grzeczną i usłużną. Tego wszystkiego dowody sama widziałam i pochwalam tak piękne przymioty, – ale masz w sobie jedną wadę, a tą jest popędliwość. Kiedy ta cię popadnie, nie umiesz ją powściągnąć, posuwasz się do takich czynności, których się później wstydzisz, — sobie i drugim zatruwasz życie. Sądzą ludzie, jakoby ci rozumu brakło, to nie jest prawdą; — ale do takiego krzywdzącego cię sądzenia daje powód popędliwość — mówią bowiem, że złość jest krótkiem szaleństwem. Uznaj ten błąd i postanów sobie mieć na siebie baczność, wiedząc, że obowiązkiem chrześcianina jest być jak jego mistrz łagodnym, — a gdy uznajesz w sobie błąd przeciwny temu obowiązkowi, winnaś go przezwyciężać. Nie trać otuchy, przy Bozkiej pomocy i własnych szczerych chęciach, może człowiek wiele dokazać!

Po kilku dniach, gdy nadeszła wiadomość, iż Tanenberg jest do przyjęcia gości urządzony, udał się tam Kunerych z żoną i Edelbert z Różą. Gdy przez wsie po drodze położone przejeżdżali, witał ich zgromadzony lud, który wywabiła z domów ciekawość widzenia Edelberta i jego cnotliwej córy. Gdy zaś wjechali w dobra Edelberta, zdawały się wszystkie jego wioski opróżnione; ta okoliczność zastanowiła nie mało właściciela ale zamilczał zdumienie swoje, które, gdy się brama zamku wjeżdżającym otworzyła spełzło i obróciło się w miłą niespodziankę, okazały się bowiem oku jego dwa długie szeregi, jeden z mężczyzn, drugi z niewiast w świąteczne suknie ubranych złożony, a na czele ich węglarz. Ten wysunął się naprzód i rozpoczął zrobioną sobie przez starego burgrabiego mowę. Ale że staremu i pamięć nie dopisywała i rozczulenie przeszkadzało, przeto po kilka razy zaczętej mowie od słów:

— A ponieważ, więc tedy miłościwy Panie! — odrzekł w te słowa: — Jak skoro mojego miłościwego pana i naszą czcigodną pannę Różę spostrzegłem, zapomniałem ze szczętem mojej pięknej perory, i nie wiem co powiedzieć więcej jak to: gdym dożył tego szczęśliwego dnia, w którym mego dobroczyńcę widzę zdrowym i wolnym, chętnie chcę umierać, bo pewnie nic milszego na tym świecie nie dożyję!

(Dokończenie nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

WĄŻ.

Choć płynęła rzeczka przez wieś, jedna z dwóch siostr, młodsza Kasiula, do dalekiego zdroju przed wschodem słońca miała zwyczaj chodzić po wodę, bo w dalekim zdroju pod borem tylko ptaszyny swemi dzióbkami czyściuchną wodę czerpały, tylko nagły wiatr ją zamącił.

Przyszedłszy Kasiula razu pewnego według zwyczaju do czystego zdroju po wodę, co zaczerpnie, woda z jej wiadra znika, a kiedy nadaremnem czerpaniem zmęczona, spoczęła, słyszy miły i tkliwy głos:

Moja miła Kasiuleczku,
Kiedy ztąd chcesz wodę brać,

To mi musisz ślubować.
Czy moją będziesz? —

Kasia przeniknięta tym głosem nie wiedząc co czyni, odpowiada:

Radabym ztąd wodę brała,
Radabym ci ślubowała. —

I wyszedł z głębi zdroju złocisty wąż i rzekł:

— Nie jestem ja takim, jak mnie widzisz, ale jestem wysokiego rodu panem, a zostaję w zaklęciu, i dopóty pod węża postacią mam cierpieć i w tym zimnym mieszkać zdroju, aż ślubować mi będzie taka, jak ty piękna i poczciwa dziewczyna.

Piękna dziewczyna, ulitowawszy się wysokiego rodu panicza zaklętego w węża, ślubować onemu przyrzekła. A więc dziękując jej za tak dobre serce, błagał, aby codziennie przed wschodem słońca, przychodziła nad zdrój do niego. A jeśli przez rok cały tych odwiedzin dotrzyma, tym sposobem on z zaklęcia będzie wyswobodzony, poczem się pobierą i oboje będą szczęśliwi.

Kiedy codziennie przed wschodem słońca, Kasiula nad zdrój przez pół roku chodziła, wysokiego rodu pan zaklęty w węża, miał wolność na chwilę zrzucać swą skórę, i przez czas rozmowy, onej takową skórę do schowania dawał, a gdy na górze zaświeciło słońce, oblekał się młodzian w skórę swoją, dziewczynę pożegnał, w zdrój pluskał i znikał.

Starsza jej siostra Marychna, ciekawa gdzie Kasiula i drugie pół roku przed wschodem słońca biega, wyśledziła jej kroki, widziała stojącą ją nad zdrojem i z pięknym rozmawiającą młodzieńcem, czego jej zazdroszcząc, oskarżyła ją przed matką — a matka zakazała Kasiuli codziennie nad czysty zdrój przed wschodem słońca biegać.

Wysokiego rodu pan zaklęty, przez większą połowę na ów czas był wyswobodzony i mógł już do południa w zwykłej postaci młodzieńca przebywać, lecz Kasiuli do niego widać nie było, i nieszczęśliwy nie mając przy sobie kochanki, nie miał komu dać do schowania swej skóry.

Nie mogąc wszakże wytrzymać, aby się dowiedział, czy już nie żyje, czy go zdradziła, przed wschodem słońca jednego dnia, zrzuciwszy z siebie węża skórę, dosiadł rączego konia i na podwórze ojców Kasiuli wjechał.

Kiedy go Kasiula oknem dojrzała, przeciw niemu wybiegła, on jej czemprędzej podał skórę wężową, a ona ją w zanadrze schowała.

Młodzian wchodzi do izby, ojców pozdrawia, ojcowie go przyjmują i siedzieć proszą, ale jemu się spieszy, jemu pilno, on nie usiadł, tylko powiedział, że kiedy indziej, a niezadługo

u nich gościć będzie — potem ojców pożegnał, od Kasiuli skórę swoją odebrał, na konia wsiadł i pojechał.

Marychna starsza siostra Kasiuli zważała, że piękny młodzian Kasiulą tylko zajęty, że z nią nawet nie rozmawiał, a zazdrością przyjęta skarzyła się rodzicom — a rodzice zakazali Kasiuli, aby, skoro przyjedzie ten młodzieniec, przeciw niego nie wybiegała.

I w kilka dni pędził młodzian i na podwórze ojców Kasiuli wjechał, ale gdy Kasiula choć go oknem dojrzała, ku niemu nie wybiegła, on czemprędzej do izby wpadł, Kasiuli coś podał, a ona w zanadrze schowała, — potem ojców przywitał, ojcowie go mile przyjęli, siedzieć prosili, — ale jemu się bardzo spieszyło, on tylko chwilę posiedział i mówiąc, że za trzecim razem dłużej gościć będzie, ojców pożegnał, od Kasiuli coś odebrał, na konia wsiadł i pojechał.

A Marychna znowu skarzyła się przed ojcami, że jej siostra Kasiula, choć od niej młodsza, kochanka zawsze odmawia, a ojcowie zakazali Kasiuli, aby, skoro ten młodzieniec przyjedzie, z nim wcale nie rozmawiała.

I w jakiś czas pędził na koniu młodzian, i na podwórze ojców dwóch dziewcząt wjechał, a gdy go Marychna ujrzała, Kasię od okna odepchnęła i sama na jej stanęła miejscu.

Młodzian więc, jak do izby wpadł, za Marychnę, gdzie Kasiula w kącie stała, skórę swą rzucił, którą ona czemprędzej porwała, i w zanadrze schowała — i tak za każdą razą gdy przybył, skórę wężową Kasiuli sekretnie do schowania dawał, i kiedy wyjeżdżał, tak samo ją odbierał. Młodzian potem ojców przywitał, ojcowie go mile przyjęli, siedzieć prosili i później zapytali, którą sobie upodobał z ich dziewek, czy Marychnę, na którą, jako na starszą teraz czas przychodzi, czy też Kasiulę, na którą jako na młodszą, dosyć jeszcze jest czasu.

Wysokiego rodu młody pan przeniknął, że gdyby o Kasiulę prosił, z kwitkiem odjechaćby musiał, i dopiero wtedy powrócić, kiedy starsza Marychna poszła za mąż. Powiedział więc młodzieniec:

— Obie dziewki udały mi się w urodzie, ale nie wiem, która z nich więcej mnie kochać może, i która będzie lepszą żoną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

— Nie, dziękuję, odparł Kazimierz. Wszak mam tęższe barki od Zosi, czy nie prawda? Co mówisz Zosiu?

Popatrzyła się Zosia na jego szeroką pierś i barczyste plecy, i nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

— Interes więc skończony, rzekł nareszcie Kazimierz; a tutaj daję zadatek. — I położył coś na stole w papier zawiniętego; a zanim Piotrowa mogła słówko wyrzec, pożegnał ją i znikł.

Piotrowa porwała papier, wybiegła za Kazimierzem, bo nie chciała żadnego zadatku, nie

wiedząc, czy mu się jej pranie spodoba; wyszła na ulicę..... lecz nikogo już nie ujrzała; tylko koło cmentarza mignęło coś, jakby cień i znikło.

Powróciła więc do izdebki. Tu rozwinęła papier i zabłysło srebro; były to cztery talary. Zdziwiła się biedna Piotrowa, nie chciała swoim oczom wierzyć, bo tyle pieniędzy razem już dawno w ręce nie miała.

Ha! mój Boże! westchnęła sobie, nie chciałam przyjąć tych pieniędzy dla siebie, ale przyjmuję je dla tych biednych dzieci; bo Piotr o nich nie pamięta.

I pomyślała biedna kobieta o swoim mężu, który niby to poczciwy z nałogu pijaństwa zapomniał o najświętszym swym obowiązku, tak że przez niego ona żyć musi w nędzy z drobnemi dziećmi. Spojrzała na nie i pomyślała sobie: — Coby się też z biednej Zosi stało, co z maleńkiego synka, gdyby jej nie było na świecie. — I smutno biedaczce zrobiło się na sercu.

W tem padł jej wzrok na obraz Matki Bozkiej, zdawało jej się, że ta Królowa Niebios do niej się uśmiecha. Ufność wstąpiła w jej duszę, uklękła przed obrazem.... i modliła się. Zosia widząc to, zrozumiała matkę, uklękła także i obok niej się modliła a modlitwy ich gorące i szczere wzlatywały w górę coraz wyżej i wyżej, aż stanęły w obliczu tej pocieszycielki strapionych, przed której poświęconym wizerunkiem klęczały.

Tymczasem w kołysce dziecko usnęło, lekko i zdrowo oddychając, i cisza zaległa cały domek. Było już koło północy, a one modliły się jeszcze. W tem rozległ się łoskot u drzwi wchodowych, potem jakieś dzikie krzyki i powtórne niecierpliwe stukanie.

Zerwały się obie, a biedna matka zajękła: O mój Boże! mój Boże! już znów pijany!

Wybiegła z izdebki.... a po chwili wtoczył się chwiejącym krokiem Piotr Stropski. Zosia, drżąca z przestrachu, ukryła się w kącie izdebki. — Stanął w środku izby z wzrokiem obłąkanym, z najeżonemi włosami, bez wierzchnej odzieży, zabełkotał coś niezrozumiale, pomrukując jakby jakie zwierzę, nogi mu się zachwiały,.... byłby upadł, lecz nieszczęśliwa żona podbiegła, wzięła go pod rękę i poprowadziła do tapczana mówiąc: — połóż się spać, Piotrze! połóż się.

Zżymał się Piotr, chciał się opierać, lecz ledwie sobą mógł władać: padł na siennik... a w kilka minut już rozlegało się głośne jego chrapanie.

I znowu cisza nastała, przerywana tylko chrapaniem pijanego Piotra. Matka z Zosią płakały, usiadły ściskając się nawzajem koło tapczana, — świeczka łojowa zapłonęła ostatnim płomieniem.... i zgasła. Ciemność, cisza i całodzienne utrudzenie uśpiły wnet i te obie biedne istoty.

Nazajutrz w tokarni szło wszystko swoim zwykłem trybem: wszyscy przy swoich warsztatach pracowali, i Kazimierz z drugiemi pracował czasem tylko spoglądając na puste toczydło Stropskiego. Nie było go jeszcze.

Tak przeszedł cały dzień. Wieczorem po skończonej pracy Kazimierz znowu się ubrał i wyszedł. Poszedł na stare Miasto i wkrótce wynalazł dom pana Krysztofa z szynkownią Szrajbera. Wszedł: pełno ludzi różnego gatunku: wyrobników, czeladzi, rzemieślników, woźniców; pełno smrodu różnych napojów; pełno hałasu i krzyku; pełno dymu z tytoniu, do tego wszystkiego muzyka uszy rozdzierająca. Przeszedł kilka razy przez kilka izb, szukał tam kogoś wreszcie nie znalazłszy go, usiadł przy próżnym stole; żeby zaś na niego szynkarz krzywem okiem nie patrzał, kazał sobie podać szklankę piwa.

Posługacz pogardliwym wzrokiem powiódł po nim, bo cóż u niego taki gość, co tylko szklaneczką piwa się kontentuje. — Przyniósł piwo, — postawił, odwracając się od tak wstrzemięźliwego gościa — i chciał odejść.

Zatrzymał go Kazimierz, zagadując: — Nie ma tu czasem Piotra Stropskiego.

— A, nie ma go samego, rzekł posługacz, ale jest tu coś od niego. To mi tęgi człowiek! Jak przyjdzie do nas to nie każe sobie szklaneczki piwa podawać, ale z kufla pije, czy to piwo, czy wino, czy wódkę, i to nie sam, — wszyscy, kto tylko w Boga wierzy, piją... bo też bardzo lubi towarzystwo: a jak nie w kompanii, to pić nie może. Pieniędzy nie żałuje, aż miło z takim gościem! A jak nie stanie pieniędzy, to mniejsza o to, czy śnieg czy deszcz, czy zi-

mno, czy ciepło na dworze, kaftan czy sukmanę, but czy nie but... wszystko ściąga z siebie, i daje, by tylko sobie podochocić, gości uraczyć, i memu gospodarzowi co zarobić. To mi pan! on szklaneczkami piwa nie cedzi: Tak! mój panie! jego samego teraz tu nie ma, lecz przyjdzie niezawodnie, nie dziś to jutro, bo zostawił nam pamiątkę; -- ładny miał ubiór! —

— Właśnie to ja przyszedłem po te suknie Piotra, aby je wykupić, — rzekł na to Kazimierz.

— A dobrze, rzekł posługacz, liczył potem coś na palcach i dodał: należy się trzynaście złotych.

— Oto masz je... zawiń rzeczy... i przynieś. A tu masz dla siebie te szklankę piwa możesz sobie wypić, a tu masz co się za nię należy.

Posługacz osłupiał, wytrzeszczył oczy na Kazimierza, wziął trzynaście złotych i należytość za piwo, naturalnie i poczęstnem nie wzgardził, wziął milczkiem szklankę z piwem i wyniósł się, nie mówiąc słówka. — Po chwili przyniósł zawiniątko z rzeczami, a za nim przyszedł sam gospodarz Szrajber.

Gospodarz grzecznie, lecz widać trochę tem obrażony, że Kazimierz pogardził jego piwem, zbliżył się do Kazimierza i rzekł:

— Cóż to, pan nie chce ani skosztować mego piwa? czy panu nie smakuje? W całej okolicy nie ma lepszego, — pan mi wyrządzasz krzywdę.

— Mój panie! rzekł na to Kazimierz, każdy pije co lubi i ile może, a za to płaci; ja nawet za to zapłaciłem, czegom nie pił. Czy żądasz pan jeszcze czego odemnie.

— Ale przepraszam pana! odezwał się z gniewem pan Szrajber, pan mojem piwem pogardzasz!

Na to odrzekł mu z godnością Kazimierz: — Ja wszystkiem, nie tylko pańskiem, piwem pogardzam; pogardzam wódką i wszystkiemi trunkami, jeżeli one robią człowieka zwierzęciem, uczciwego łotrem, pracowitego próżniakiem, jeżeli — ot tak jak biednego Piotra czynią złodziejem własnego zarobku, jeżeli sprawiają, że zapomina o żonie, o dzieciach i staje się tylko ciężarem dla ludzi.

Gdy to Kazimierz cokolwiek donośnym mówił głosem, zbliżyło się wiele gości — i otoczyło stół, przy którym Kazimierz stojąc prawił panu Szrajberowi świętą prawdę. Ten widząc, że słowa Kazimierza mogłyby gości jego rzeczywiście odstręczyć od pijaństwa, na czemby naturalnie nie mało stracił, — ostro się postawił Kazimierzowi, nasrożył minę, i zawołał:

— Co to? pan mi tu chcesz kazania prawić? Nie dość na tem, że sam nic nie jesz, ani pijesz, chcesz mi odmówić moich szanownych gości, których tak wysoko szanuję i kocham, którym usługuję tak szczerze?

— Prawda, — odrzekł Kazimierz, — ładnie im pan służysz!

A zwracając się do otaczających go gości, po których obliczu spostrzegł jakąś niechęć ku sobie, i pokazując im zawiniątko, zawołał:

— Oto patrzcie, to są skutki usług szczerych pana Szrajbera!

A jeden z gości, furman, odrzekł:

— Cóż tam jest takiego? Cóż pan chcesz z tem zawiniątkiem? Czy już nie można się napić szklanki piwa, kiedy człowiek cały dzień się napracował, że aż kości trzeszczały?

— Broń Boże, — odrzekł na to Kazimierz, — broń Boże! żebym tego wzbraniał! Trunek do posilenia niech służy; ale nad miarę użyty jest trucizną, grzechem i występkiem!

— A w tem oto zawiniątku, wiecie co jest? — oto ubiór mego biednego przyjaciela, które mu pan Szrajber tak szczerze służył i tak go szanował i kochał, że dawał mu tyle pić aż zrobił z niego człowieka bez rozumu, obdarł go z jego rzeczy, a byłby go obdarł nawet z własnej jego skóry, gdyby mógł ją spieniężyć gościom, to jest sobie samemu usługiwać, gości swoich wtrącać w nędzę, a groszem ich zapełniać swoje kieszenie. Oto, co chciałem powiedzieć.

To powiedziawszy Kazimierz pokłonił się panu Szrajberowi, a zabrawszy zawiniątko opuścił tę brudną i zadymioną jaskinię i aż odetchnął swobodniej, ujrzawszy się znów pod gołem niebem, zdala od owej zgrai pijaków.

Ledwo co wyszedł Kazimierz, aliści goście jeden po drugim popłacili to, co wypili i wynosili się z oburzeniem od Szrajbera, co ich tak szczerze szacował i kochał.

Szynk jego po tym zajściu bardzo opustoszał; mało kto kiedy tam zajrzał, chyba ze wsi świeżo przybyły tam czasem zabłądził.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

PERYOD III.

ROZDZIAŁ I.

Osady i kolonie.

Pomiędzy osadami i koloniami istnieje różnica. Założenie osady jest początkiem utworzenia kolonii. Jest to pierwszy krok, który może mieć skutki pomyślne lub też nie. Kolonia powstaje wtenczas dopiero, skoro osady zdołają się utrzymać i przyjmują prawa organiczne, że tak powiemy, macierzy, tj. kraju, z którego osadnicy pochodzą, a któremi się następnie rządzą.

Peryod osad, z których się utworzyło owych trzynaście kolonij, które później uzyskały niepodległość, rozciąga się od r. 1607 aż do 1733, historya kolonij zaś od r. 1733 aż do 1774, w którym to roku zastępcy wszystkich kolonij zjechali się na kongres, aby obradować nad dobrem ogólnem. Przed utworzeniem kolonij jednakowoż był się utworzył związek, którego celem było dobro ogółu; był to bowiem związek kolonij, które pomagały Anglii w walce przeciw Francuzom i Indyanom. Ponieważ zaś lokalna historya każdej kolonii pod tym względem, byłaby może nudną dla czytelnika w ogóle, poświęcimy wojnie francuzko-indyańskiej osobny rozdział na końcu opisu tego peryodu.

Przez pięćdziesiąt lat przed wylądowaniem Anglików pod Jamestown zakładano stacye rybackie nad całem wybrzeżem Atlantyku, a w St. Augustine zaś założyli Hiszpanie stacyę wojskową. Lecz dopiero od czasu ukazania się Anglików nad James rzeką można datować prawdziwy początek zawiązania się wielkiego związku wolnych państw czyli stanów, jak je tutaj nazywamy. Dwanaście lat (1607—1619) potrzebowali awanturnicy angielscy nim zdołali w rzeczywistości się osiedlić w Virginii. Przez siedmnaście lat (1609—1628) prowadzili kupcy z Hollandyi handel nad rzeką Hudson, nim mogli założyć osadę New York; czternaście lat było potrzebnych, aby to uskutecznić w Massachusetts (1606 – 1620); przez dziewięć lat (1622—1631) walczyli awanturnicy aby się osiedlić w New Hampshire. Katolicy potrzebowali tylko jednego roku (1634—1635) do założenia kolonii w Maryland. Przez siedm lat (1632—1639) starano się zakładać stałe kolonie w Connecticut, a ośm lat (1636—1644) w Rhode Island, pięćdziesiąt lat walczyli Szwedzi, nim osady ich w Delaware, New Jersey i Pennsylvanii się ustaliły. Minęło 60 lat (1622—1680) nim pierwsze w Carolinach założone osady stały się prawdziwemi koloniami; Georgia zaś, najmłodszy z 13 stanów, utworzyła natychmiast zarząd kolonialny, skoro Oglethorpe z pierwszym oddziałem osadników w r. 1723 począł budować miasto Savannah.

Pierwsza więc osada została założoną w

VIRGINII.

Nie upłynęło jeszcze sto lat od czasu odkrycia Ameryki przez Columbusa, kiedy już nastała wielka socyalna i polityczna zmiana w Europie. Handel, który dotąd ograniczał się na wybrzeża, przeniósł się już po za oceany. Odkryto sztukę drukowania, nastała reformacya, tak nazwany feudalizm został zniesiony, wolność myślenia i działania rozszerzała idee. Nowy wypadek także wywarł niezmierny wpływ na położenie ogólne. Skończyła się bowiem wojna między Anglią i Francyą w r. 1607. Żołnierstwo nie miało zatrudnienia; a do niego należeli ludzie, którzy nie bali się ani niebezpieczeństw morza, ani też groźb Indyan. Wtenczas to powstali tacy mężowie, jakimi byli: Fernando Gorges, Bar-

tholomew Gosnold, Popham, kapitan John Smith i inni, którzy nowe plany kolonizacyjne wypracowali. Jakób I., król angielski, nie lubiący swarów, był kontent pozbyć się awanturników i dał im pozwoleństwo zakładać kolonie w Virginii (20 kwietnia 1606). Anglicy następnie rościli sobie prawo do całego kraju od Cape Fear w południowej Carolinie aż do Halifaxu w Nowej Szkocyi nie oświadczając, gdzie ma być zachodnia granica tego kraju. Obszar ten został podzielony na dwa okręgi, z których pierwszy rozciągał się od miejsca, gdzie Nowy York teraz leży, aż do południowej granicy Canady. Okręg ten nazwano północną Virginią. Drugi okręg rozciągał się od ujścia rzeki Potomac na południe aż do przylądka Cape Fear i został nazwany południową Virginią. Obszar leżący pomiędzy dwoma temi okręgami w szerokości 200 mil, tworzył niejako wał, któryby mógł wstrzymać ludność jednego okręgu od zaczepienia mieszkańców drugiego. Północna prowincya była własnością tak nazwanego Plymouth, południowa londyńskiego stowarzyszenia. Urzędników mianował król angielski.

Usiłowania założenia stałych osad w północnej Virginii nie udawały się tymczasem jeszcze. I w południowej Virginii nie byłoby szło lepiej, ponieważ między osadnikami panowały spory i nienawiść, i już tylko miano powrócić do Europy, gdyby się nie był zajął całą sprawą kapitan Smith, który znów zaprowadził porządek. Założono miasto Jamestown. Podczas jednej z wycieczek uwięzili Indyanie Smith'a i już miano go zabić pałkami, gdy się na niego rzuciła Pocahontas, córka cesarza czy też króla indyańskiego, Powhattana, przez co Smith'a ocaliła. Darowano mu bowiem życie. — Smith wrócił do Jamestown, dokąd tymczasem były przybyły posiłki z Anglii. Przez czas swego uwięzienia poznał Smith zwyczaje i obyczaje jako i mowę Indyan i dla tego też zdołał podczas innej wycieczki zawrzeć z różnemi plemionami stosunki przyjazne. Z wycieczki tej wrócił w dniu 7 września 1608. W trzy dni potem obrano go prezydentem osady. Wkrótce potem przybyli nowi imigranci, pomiędzy którymi znajdowały się dwie niewiasty — pierwsze Angielki, które się zjawiły nad James rzeką. Nieszczęściem było, że prawie wszyscy imigranci należeli do „leniwej szlachty" — awanturników, dla tego też, pomimo iż osada liczyła 200 głów, uprawiono w przeciągu dwóch lat tylko 40 akrów roli. Smith dla tego pisał do rządu angielskiego: „Wolę abyście mi przysłali 30 rolników, cieśli, ogrodników, rybaków, kowali, murarzy i ludzi, którzy umią wykopywać pieńki, aniżeli 1000 takich, jakich już tu mamy.

Londyńska kompania, która miała przywileje w nowej tej prowincyi, spostrzegła, iż się omyliła w swej rachubie, i dla tego zażądała większych przywilejów; okręg południowej Virginii został rozszerzony aż do rzeki Chesapeake; rada kompanii otrzymała pozwoleństwo obierania urzędników i zamianowania gubernatora, który miał być wszechwładnym, tj. rozporządzać życiem, własnością i wolnością osadników podług swego upodobania.

Gubernatorem pierwszym był lord de la Warr (Delaware), człowiek światły. Nim sam wyjechał z Anglii, wysłał do Ameryki wice-gubernatora Tomasza Gates z 9 okrętami. Siedm z nich przybyło tylko do rzeki James. Byłoby szczęściem dla osady, gdyby ludzie na nich się znajdujący wcale do niej nie przybyli, bo byli jeszcze gorszymi od pierwszych. Byli to rozpustni szlachcice, którzy dla różnych przyczyn uchodzili z Anglii, by nie popaść w ręce sprawiedliwości. Póki Smith rządził osadą, szło wszystko dobrze, bo Indyanie szanowali go. Gdy się zaś udał dla osłabionego zdrowia do Anglii, stan rzeczy się zmienił.

Pozostali dopuszczali się różnych przekroczeń i znieważali Indyan, którzy im za to ujęli wszystkie sposoby dostania żywności. Było to zimą i latem 1610 r., który to rok jest dzisiaj jeszcze znanym pod nazwą „czas wielkiej biedy". Indyanie zabijali wszystkich, którzy się do nich po żywność udawali, i chcieli nareszcie wszystkich wymordować. Plan był już gotowym, lecz Pocahontas, o której powyżej już była mowa, zdradziła takowy Anglikom i ocaliła tym sposobem ich życie. Lecz anioł śmierci unosił się jednakowoż po nad ich głowami, bo z 500 kolonistów, których Smith zostawił, pozostało wskutek trudów, głodu i nieprzyjaźni Indyan tylko 60 po upływie 6 miesięcy.

W tym czasie przybył Lord Delaware z posiłkami. Był to człowiek cnotliwy i przezorny; pod jego zarządem poczęła kolonia kwitnąć. W marcu 1611 r. udał się dla zdrowia do Anglii; po nim objął zarząd Dale, doświadczony wojak, który zarządzał po wojskowemu. Przybył wtenczas także z Anglii Tomasz Gates z 300 kolonistami i objął władzę. Dale popłynął dalej aż do ujścia rzeki Appomatox, aby i tu założyć osadę. Teraz nastąpiła zmiana w wewnętrznych stosunkach kolonistów. Dotychczas pracowano wspólnie tak, że pracowici byli zmuszeni żywić leniuchów. Teraz zaś przeznaczono dla każdego kolonisty osobny kawał roli, każdy był więc zmuszony pracować, jeżeli coś chciał mieć.

W początku roku 1613 znajdowało się już 1600 Anglików w Virginii. W tym czasie wydarzył się przypadek, który wiele się przyczynił do ustalenia kolonii. Powhattan bowiem okazywal się po wyjeździe Smith'a wciąż nieprzyjaznym. Aby módz z nim zawrzeć pokój stały, przekupił kapitan Argall (awanturnik) jednego z naczelników, który w ręce jego oddał Pocahontas, córkę Powhattana; tę uwięziono na okręcie, gdzie pozostała do czasu, aż ją ojciec wykupił. Tymczasem poznała Pocahontas młodego Anglika, nazwiskiem Rolfe, który ją nauczył czytać i zapoznał z zasadami wiary chrześciańskiej. Za pozwoleństwem Powhattana została

ochrzconą i w kwietniu 1613 r. żoną Rolfa. Od tego czasu był Powhattan przyjacielem Anglików.

W osadzie począł panować dobrobyt, lecz brakowało jeszcze pierwiastków stałego stanu rzeczy. W Virginii nie było żadnych familii a osadnicy uważali Anglię wciąż za swą ojczyznę, do której zamierzali powrócić. Gates odpłynął do niej w marcu 1614 r. oddając władzę Tomaszowi Dale, który także wrócił do Anglii po upływie dwóch lat, zamianowawszy Jerzego Yeardley gubernatorem, pod którego zarządem poczęto się zajmować uprawą tabaki. Yeardley zniósł prawo wojenne i zaprowadził rząd reprezentantów. Kolonia została podzieloną w jedenaście gmin (borroughs) a lud wybrał z nich po dwóch deputowanych. Ci tworzyli wraz z gubernatorem zarząd kolonii, którego uchwały atoli musiały być potwierdzone w Anglii. Najgłówniejszy wypadek tej epoki wydarzył się w dniu 28 czerwca 1619 r. W tym bowiem dniu odbyła się pierwsza konwencya amerykańska w Jamestown i tu położono podstawę konstytucyi Virginii, którą odtąd koloniści poczęli uważać za swą ojczyznę. W przeciągu dwóch lat sprowadzono z Anglii 150 cnotliwych niewiast, które stały się żonami kolonistów.

Odtąd poczęło przybywać coraz więcej kolonistów i osady zostały założone aż po za dzisiejszy Richmond i nad brzegami rzeki Potomac. W roku 1621 przesłała kompania, która wciąż jeszcze uważała Virginię za swą własność, pisaną konstytucyę, potwierdzającą większą część konstytucyi Yeardley'a. Virginczycy uważają rok 1621 za chwilę, w której uzyskali wolność obywatelską.

Gubernatorem został w roku tym wybrany Franciszek Wyatt, właśnie ten, który przywiózł konstytucyę. Ucieszył się bardzo z kwitnącego stanu Virginii. Lecz wkrótce wzniosła się po nad nią straszliwa burza. Po śmierci Powhattana bowiem rządził plemionami indyańskiemi nieprzyjaciel białych. Coraz bardziej wzrastająca liczba Anglików zaniepokoiła go. Ludność biała liczyła już głów 4000 i wzrastała coraz bardziej; Indyanie czytali swój los — zniszczenia — w twarzy każdego nowego przybysza a chcąc temu zaradzić, uknuli spisek. W dniu 1 kwietnia 1622 napadli na osadników odleglejszych, których w jednej godzinie wymordowali 350 włącznie niewiast i dzieci. Inni zdołali się ocalić ucieczką do Jamestown. Z 80 osad pozostało w przeciągu dni kilku tylko ośm. Biali zebrawszy się w Jamestown wyruszyli przeciw Indyanom i zemścili się krwawo, bo zabijali dzikich setkami lub wyganiali daleko w głąb lasów. Lecz wkrótce poczęły się pomiędzy nimi srożyć choroby i głód, a w początku r. 1624 pozostało z 4000 kolonistów tylko 1800.

Król Jakób, chcąc już dawno odebrać Virginię kompanii, korzystał z tej sposobności, a pozornie przypisując wszystkie nieszczęścia kolonii złemu zarządowi kompanii, odebrał Virginię i zrobił z niej prowincyę królewską. Gubernatorem zamianował Yeardley'go (o którym już powyżej wspomniano). Jakób umarł wkrótce, (6 kwietnia 1625), a po nim nastąpił syn jego Karol, który był takim samolubem, jak i jego ojciec. Udzielił wprawdzie kolonistom przywilejów politycznych, lecz w zamian chciał sobie przywłaszczyć monopol handlu.

W listopadzie 1627 r. umarł Yeardley a w 2 lata po jego śmierci został następcą jego zamianowany Jan Harvey, rojalista, który był nienawidzony przez kolonistów. Po długich zatargach pozbawili go Virginczycy urzędu i wysłali do króla komisyę, mającą go oskarzyć. Lecz ten nie dał jej nawet posłuchania i potwierdził Harvey'a w urzędzie, który zajmował przez cztery lata jeszcze. W r. 1639 zajął miejsce jego Franc. Wyatt, dzielny gubernator, a w r. 1641 William Berkeley, który silną ręką prowadził zarząd, i urząd swój zajmował przez lat 10. Pod nim zakwitła kolonia. Tymczasem zaszły w Europie zmiany. Król Karol padł pod mieczem katowskim a purytanie zajęli rząd Anglii. Virginczycy pozostali wierni zasadom monarchicznym, wypędzili purytanów dotąd w Virginii ścierpianych. Cromwell protektor angielski rozjątrzony takiem postępowaniem, wysłał flotę dla ukarania Virginczyków, którzy widząc grożące niebezpieczeństwo woleli się poddać, niż walczyć, przez co ujednali sobie łaskę komisarzy z Anglii przybyłych, wskutek czego uzyskali więcej przywilejów obywatelskich jak poprzednio mieli.

W tym samym czasie powstały znów rozruchy indyańskie. Tak nazwani Powhattanie rozpoczęli z Anglikami krwawą wojnę, która przez dwa lata trwała i się zakończyła pojmaniem króla indyańskiego Opechancanough i pobiciem Indyan.

Virginia była w tym czasie faktycznie niezależnem państwem, bo Cromwell mianował tylko gubernatorów, pozostawiając Virginczykom własną wolę co do zarządu. Lecz stan ten rzeczy zmienił się z wstąpieniem na tron angielski Karola II. Gubernatorem wtenczas był Berkeley, który pomimo iż Karol II jeszcze w Anglii nie był ogłoszony królem, wywołał go w Ameryce królem Anglii, Szkocyi, Irlandyi i Virginii. Republikanom w Virginii nie podobała się ta sprawa, lecz byli za słabymi, aby coś uczynić przeciwko temu. Król dowiedziawszy się później o tem, odebrał kolonistom bardzo wielkie obszary, nawet takie, które już przez kolonistów były uprawiane i podarował je swym ulubieńcom. Coraz bardziej stawała się monarchia uciążliwszą, coraz bardziej skracano przywileje ludności i coraz większe nakładano podatki.

(Dalszy ciąg nastąpi).